

Rak

NADZIEJA
Bóg

Statystyki mówią, że jedna osoba na cztery zachoruje na raka. Ale ja miałam dopiero 42 lata. W mojej rodzinie nie było takich przypadków, karmiłam piersią troje dzieci, nie byłam więc w grupie wysokiego ryzyka.

W pewnej medycznej książce przeczytałam, że przypadek taki jak mój trafia się raz na dwieście tysięcy.

Wszystkie moje plany i marzenia stanęły pod znakiem zapytania. Wtedy uświadomiłam sobie, jak trudno jest żyć, kiedy traci się nadzieję. Bardzo pragnęłam odzyskać ją na nowo.

Co to jest nadzieja? „Słownik języka polskiego” definiuje ten termin jako: „Oczekiwanie spełnienia się czegoś pożądanego, ufność, że to się spełni”¹. Nadzieja potrzebna jest człowiekowi do życia. Kiedy jej nie ma, nasze życie traci sens.

Władysław Tatarkiewicz pisał: „Kto ma jakiegokolwiek widoki na przyszłość, jakąkolwiek NADZIEJĘ – chociażby nie miał aktualnie nic, co by mu w życiu dawało zadowolenie – nie jest naprawdę nieszczęśliwy. Prawdziwym nieszczęściem jest tylko BEZNADZIEJNOŚĆ”² (podkreślenie moje).

Dwie grupy ludzi

Narody i jednostki różnie postrzegają nadzieję. Dobrym przykładem jest amerykański film „Znaki”. Obraz ten, choć niezbyt ambitny i dość prosty, niesie ważne przesłanie. Głównym bohaterem jest duchowny, który traci nadzieję, kiedy jego żona ginie w wypadku, potrącona przez ciężarówkę. Wypowiada on takie słowa: „Ludzie dzielą się na dwie grupy. Jedni, kiedy los się do nich uśmiecha, widzą to jako coś

więcej niż szczęśliwy zbieg okoliczności. Widzą to jako ZNAK, dowód, że jest ktoś tam na górze, kto się o nich troszczy. Drudzy widzą to jako przypadek, po prostu uśmiech losu. Gdzieś w głębi duszy czują, że cokolwiek się zdarzy, są zdani tylko na siebie. I to napędza ich obawą. Są tacy ludzie. Ale jest też sporo ludzi z pierwszej grupy. Widzą oni cuda w tym, co się zdarza. W głębi duszy czują, że cokolwiek się stanie, jest ktoś, kto im pomoże i to napawa ich nadzieją”. Nadzieja pierwszej grupy ludzi wypływa z przekonania, iż życiem nie rządzi przypadek, że ktoś kieruje naszym losem i nawet wtedy, kiedy dzieje się coś złego, możemy wierzyć w dobre zakończenie. Film „Znaki” kończy się szczęśliwie. Bohater odzyskuje nadzieję.

Do której z tych dwóch grup zaliczyłbyś siebie? Ja należę do pierwszej, czyli do ludzi, którzy widzą dookoła siebie cuda, wierzą w opiekę kogoś tam na górze, a to napawa nadzieją.

Moim życiem nie rządzi przypadek

Moje życie jest przykładem tego, że nic nie dzieje się „tak po prostu”. Różne sytuacje życiowe, które nam się przydarzają, są jakby przez kogoś zaplanowane z góry i do czegoś

wykorzystywane w naszym życiu. Choć może nam się wydawać, że sploty wydarzeń są przypadkowe, tak naprawdę tworzą one logiczną, zaplanowaną całość.

Skończyłam szkołę średnią z rozszerzonym programem języka rosyjskiego, a potem studiowałam filologię angielską. Te dwa fakty odegrały znaczącą rolę w moim życiu. Dzięki znajomości języka angielskiego poznałam wielu Amerykanów, a za jednego z nich wyszłam za mąż. Znajomość języka rosyjskiego była mi potrzebna, kiedy w 1991 roku zamieszkaliśmy w Rosji. Nie przypadkiem ukończyłam taką szkołę średnią i nie przypadkiem studiowałam anglistykę.

Kiedy byłam w szkole średniej, dużo się nad tą kwestią zastanawiałam. Ludzka egzystencja, jeśli miałaby być przypadkowa, wydawała mi się jakimś potwornym żartem. Myślałam, że my, ludzie, jesteśmy w gorszej sytuacji niż zwierzęta, bo uświadomiamy sobie bezsens swojego istnienia. Niemiecki filozof Hegel twierdził, że „istotą duchowości jest samoświadomość. Człowiek jest istotą duchową, dążącą do rozpoznania celu swojego istnienia”. Zastanawiałam się wtedy, czy ten cel można poznać. Istnieje wiele systemów filozoficznych i różne światopoglądy. Który z nich jest wła-

ściwy? Czy jest jakaś jedna, obiektywna prawda, na której można oprzeć swoje życie i która da nam trwałą nadzieję? A może mają rację ludzie z drugiej grupy, ci, którzy wierzą w przypadek?

Mój kuzyn podarował mi Pismo Święte z dedykacją-cytatem z rozmowy Jezusa z Piłatem: „Cóż to jest prawda?” (J 18:8). Ciekawe, że kiedy przeprowadziliśmy się do Moskwy, w jednej z galerii odkryłam obraz pod takim właśnie tytułem, przedstawiający Jezusa z Piłatem. W ten sposób jakby potwierdziła się nieprzypadkowość naszej przeprowadzki. Rozważania o prawdzie i to słynne pytanie były przecież motywem przewodnim mojego życia.

Kiedy dostałam Pismo Święte, próbowałam je czytać, ale niewiele rozumiałam i szybko odłożyłam je na półkę. Po pierwszym roku anglistyki mój kuzyn zaprosił mnie na obóz chrześcijański, tak zwaną „Oazę”, a ja, zainteresowana nie tyle programem, co miejscem obozu (góry), chętnie pojechałam.

To był przełomowy etap mojego życia. Poznałam tam grupę Amerykanów z Campus Crusade for Christ. Jeden z nich, któremu pomagałam jako tłumaczka, na samym początku zadał mi intrygujące pytanie: „Co by się z tobą stało, gdybyś jutro umarła?”. Byłam zaskoczona i nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. O życiu po śmierci myślałam wówczas w kategoriach nagrody lub kary. Wierzyłam, że otrzymam wstęp do raju, jeśli moje dobre uczynki przeważą nad złymi. Moment śmierci wydawał mi się jednak tak odległy, że aż nierealny. Nigdy nie uwierzyłabym, gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że w wieku 40 lat będę walczyć z rakiem i że spojrzę śmierci w oczy.

Tam po raz pierwszy usłyszałam, że Bóg mnie kocha i ma plan dla mojego życia. Jednak moja grzeszność oddzieliła mnie od Niego i nie mogłam w pełni doświadczyć ani Jego miłości, ani Jego planu dla mojego życia. Z powodu grzesznej natury zasłużyłam na śmierć, na wieczne odłączenie od Boga. Bóg jednak w swojej miłości pragnie bliskiego związku ze mną i chce dać mi życie



foto. archiwum Autorki

blisko Niego na wieczność. Mogę pojednać się z Nim i zacząć nowe życie, jeśli zaakceptuję śmierć Jezusa za moje grzechy i zaproszę Go do swojego życia. Pismo Święte mówi, że Jezus umarł za nas, to znaczy zamiast nas, aby otworzyć nam drogę do Boga. Kiedy uznajemy swoją grzeszność i Jego zastępczą ofiarę za nas, i zapraszamy Go do swojego życia, aby był naszym Zbawicielem i Panem, On przebacza nasze grzechy i rozpoczyna w nas nowe życie, które będzie trwało wiecznie.

Rozważając to, zrozumiałam, o co chodziło mojemu amerykańskiemu koledze. Stało się dla mnie jasne, że to, co stanie się z nami po śmierci, nie zależy od tego, ile dobrych uczynków spełniliśmy, bo nawet najbardziej moralny człowiek ma grzeszną naturę, która oddziela go od Boga.

Życie wieczne z Bogiem zależy od naszej decyzji – przyjęcia zastępczej ofiary Jezusa. Jeśli ją przyjmujemy tu, na ziemi, otwiera się przed nami wieczność z kochającym nas Ojcem, który posłał dla nas swojego Syna na śmierć, abyśmy mogli żyć wiecznie z Nim w niebie.

Słowa Jezusa, który powiedział o sobie: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem” (J 14:6), po raz pierwszy naprawdę mnie poruszyły i dały poczucie, że dotarłam do bezpiecznej

przystani. Oto otrzymałam odpowiedź na pytania o prawdę i sens życia. Jezus, Syn Boży, objawił mi się jako absolutna prawda, drogowskaz i cel. Podjęłam decyzję, aby w modlitwie zaprosić Go do swego życia i nawiązałam z Nim osobistą więź, a On zaczął zmieniać mnie i moje życie.

Mój wyjazd na obóz nie był przypadkiem. Nie było też przypadkiem to, że poznałam tam grupę Amerykanów. Ich życie i miłość do Boga zrobiły na mnie duże wrażenie i sprawiły, że zapragnęłam służyć Bogu tak jak oni. Po studiach podjęłam pracę w chrześcijańskiej organizacji Ruch Nowego Życia (polski oddział Campus Crusade for Christ). Pracowałam najpierw w Polsce, a potem przez 14 lat w Moskwie.

Kiedy patrzę na swoje życie, widzę cuda. Widzę, jak Bóg realizuje swój plan dla mojego życia. Jego wola dla mnie obejmuje wiele dobrych darów. Mam kochającego męża i udane dzieci. Wiele podróżowałam i zwiedziłam sporo pięknych krajów. Mam najlepszą na świecie pracę, robię to, co mnie pasjonuje – pomagam ludziom znaleźć drogę do Boga. Moja przeprowadzka do Rosji, której tak bardzo się bałam, także przyniosła wiele błogosławieństw. Oprócz pracy, dającej wielką satysfakcję, odkryłam nowe pasje – malarsztwo i jazdę na nartach.

Wszystko to jest częścią Bożego planu dla mojego życia. Jestem Mu za to wdzięczna i widzę w tym Jego troskę o mnie. Jego plan obejmuje jednak nie tylko dobre, ale i złe chwile. Życie jest przedziwnym splotem złych i dobrych rzeczy. Zło i dobro biegną po równoległych torach.

Jak każdy z nas, doświadczyłam też wielu trudności i rozczarowań. Czy były one przypadkowe? Jak sobie wtedy radzić, jak pośród nich znaleźć nadzieję? Czy uznać je za pech i sięgać po rady zaklinaczy i wróżbiarzy? Tak robią przesadni Rosjanie. Gdy spotyka ich coś złego, idą odczarować zły urok i „rozpiąć parasol ochronny” nad swoim losem. Usiłują w ten sposób odzyskać nadzieję i kontrolę nad swoim życiem. Kiedy przydarza nam się coś złego, chwytny się wszystkiego, aby nie poddać się rozpacz.

Moja dwukrotna walka z rakiem

Najtrudniejszym doświadczeniem, pełnym zmagania i wątpliwości, czy naprawdę jest ktoś, kto się mną opiekuje, była moja dwukrotna walka z rakiem.

W 1997 roku odkryłam u siebie guza piersi i udałam się do ginekologa w rosyjskiej klinice dla cudzoziemców. Lekarka skierowała mnie na mammografię, ale źle zinterpretowała jej wynik. Powiedziała, że zmiany w piersi to zwłóknienia i nie muszę się nimi martwić. Odetchnęłam z ulgą, ale koleżanki namawiały mnie, aby uzyskać jeszcze opinię innego lekarza. Mąż mówił to samo. Nie wiedziałam do kogo się zwrócić, więc otworzyłam książkę telefoniczną i jakby przypadkiem znalazłam kontakt do lekarki, od której później otrzymałam skierowanie na dalsze badania.

Tak się złożyło, że kiedy ja siedziałam na korytarzu rosyjskiej przychodni i czekałam na wyniki badań, mój mąż był w Stanach. Gdy lekarz wyszedł i powiedział, że mam raka, nie mogłam wprost uwierzyć, że słyszę te słowa i że jestem w tej sytuacji zupełnie sama. Nie było przy mnie nikogo bliskiego, kto mógłby mnie wesprzeć psychicznie. Jaką mogłam mieć wtedy nadzieję?

Ponieważ już wcześniej powierzyłam Bogu swoje życie, w tej trudnej sytuacji zwróciłam się do Niego o pomoc. I naprawdę doświadczyłam Jego opieki. Przeżyłam szok, strach i ból, ale widziałam też Boże w tym działanie. Miałam przeświadczenie, że prowadzi mnie, że dzięki skierowaniu mnie do właściwego lekarza po drugą opinię, uratował mnie od śmierci. Amerykańskie statystyki mówią, że jedna osoba na cztery zachoruje na raka. Ale ja miałam dopiero 42 lata. W mojej rodzinie nie było takich przypadków, karmiłam piersią troje dzieci, nie byłam więc w grupie wysokiego ryzyka. W pewnej medycznej książce przeczytałam, że przypadek taki jak mój trafia się raz na dwieście tysięcy. To zwiększało powagę sytuacji, a agresywność guza nie dawała mi wielu szans na przeżycie. Przeszłam operację i na szczęście nie znaleziono komórek rakowych w węzłach chłonnych, i nie odkryto przerzutów. Jednak oczekiwanie na wyniki badania histopatologicznego było jak czekanie na wyrok. Pamiętam, że nie mogłam spać tamtej nocy i modliłam się, aby Bóg dał mi jakąś pociechę. Przyszły mi wtedy do głowy słowa: „Bóg jest dobry i godny tego, aby Mu ufać”. Uspokojona tą myślą zasnęłam, a następnego dnia odebrałam pomyślne wyniki badań.

Widziałam Bożą opiekę i działanie także później, kiedy dawał mi siłę, aby przechodzić jednocześnie naświetlanie i chemioterapię. W tym czasie przeprowadzaliśmy się trzy razy, mieszkaliśmy w różnych miejscach i doświadczyliśmy różnych, mniejszych i większych, trudności. Wyniosłam z tego okresu wiele cennych przemyśleń. Zrozumiałam, jak kruche i krótkie jest nasze życie. Uświadomiłam też sobie, jak bardzo się myślę, myśląc, że mam kontrolę nad swoim życiem. Zrozumiałam, że tak naprawdę nie mamy w ogóle władzy nad tym, co się dzieje.

Po zakończeniu leczenia wróciłam do normalnego życia i miałam nadzieję, że rak nie powróci. Doczekałam już prawie pięciu lat po leczeniu, czyli tego ważnego momentu, kiedy lekarze mówią, że nowotwór jest w remisji. Nie twierdzą,

że pacjent jest wyleczony, bo tak naprawdę tego nie wiedzą. Rak jest bowiem podstępny. Nigdy nie wiadomo, czy znowu nie zaatakuję. Jeśli ktoś chorował na raka to żyje z myślą, że może on wrócić, dać przerzuty i doprowadzić do śmierci w bólach. Trudno jest żyć w takiej niepewności jutra, szczególnie, gdy jest się matką trojga dzieci, odpowiedzialną za ich los i bezpieczeństwo.

Nas, pacjentów onkologii, najbardziej niepokoi pojawiający się ból. Od razu myślimy, że to nawrót choroby. Zwykły ból gardła spędza sen z powiek. Każde kolejne badanie, każda mammografia to strach i niepewność. W miarę upływu lat, czułam się coraz pewniej i z większym optymizmem patrzyłam w przyszłość. Jednak nie przyniosła ona upragnionego zwycięstwa. Po niecałych pięciu latach rak znowu zaatakował i był to cios znacznie większy. Nie mogłam wprost uwierzyć, że jednego dnia czułam się zdrowa i żyłam normalnie, a następnego znalazłam się w świecie śmiertelnie chorych. Pamiętałam słowa lekarza, że jeśli zachoruję po raz drugi, będzie to wyrok śmierci.

Zdecydowaliśmy, że tym razem poddam się leczeniu w Stanach, aby być blisko naszych starszych dzieci, które tam studiowały. Nie znaleźliśmy jednak nikogo w mieście, gdzie był szpital, nie mieliśmy gdzie mieszkać. Musieliśmy znaleźć tam nowych lekarzy, mieszkanie, samochód. Był to okres dramatycznych wydarzeń i napiętych do granic wytrzymałości nerwów. Bóg jednak zapiekował się nami i sprawił, że w ciągu trzech dni od przylotu mieliśmy mieszkanie, samochód i znaleźliśmy lekarzy.

Boża wszechwładza i opieka

Zanim dowiedziałam się, że znowu mam raka, Bóg pozwolił nam spokojnie zakończyć ostatni rok szkolny naszego najmłodszego syna w liceum. Zdążyliśmy jeszcze pojechać na krótkie rodzinne wakacje. Widziałam w tym palec Boży. Jednak w obliczu powtórnej operacji, chemioterapii i naświetlania czułam, że tracę grunt pod nogami. Zaczęłam

myśleć, że moja choroba jest jednak przypadkiem. Niektórzy mówili mi, że choroby są naturalną częścią naszego życia i nie trzeba mieszać do tego Boga. Zastanawiałam się, czy jest możliwe, by coś działo się poza Jego wiedzą i wolą? Mógł przecież uchronić mnie przed chorobą. Mógł mnie cudownie wyleczyć. Ale tego nie zrobił. Z moimi wątpliwościami zwróciłam się do Bożego Słowa. Czytając je, na prawie wszystkich stronicach widziałam wszechwładzę Boga. „Któż może powiedzieć, że staje się coś, czego Pan nie nakazał? Czy z ust Najwyższego nie pochodzi zarówno złe, jak i dobre?” (Treny 3,37-38).

Cierpiałam fizycznie i psychicznie. Chemioterapia sprawiła, że czułam się słaba i męczyły mnie nudności. Najprostsze czynności było trudnością prawie nie do pokonania. Nawet mówienie było dużym wysiłkiem. Zastrzyki na podwyższenie liczby białych krwinek powodowały nerwowość. Byłam słaba i rozdygotana, nie mogłam usiedzieć na miejscu, miałam kłopoty z koncentracją, nie mogłam czytać ani oglądać telewizji. Garściami wypadały mi włosy. Nurtowały mnie myśli o tym, że jeśli Bóg kieruje moim życiem, to dlaczego pozwala na cierpienie. Myśli, że moja choroba jest przypadkiem, ślepym zrządzeniem losu, doprowadzały mnie do rozpacz. Jeśli bowiem jest przypadkiem, to nic nie uchroni mnie przed kolejnym nieszczęściem.

Byłam w tym wszystkim bardzo zagubiona i wtedy pomogła mi książka Jerry'ego Bridgesa pt. „Trusting God Even When Life Hurts” (Ufanie Bogu nawet w bólu). Autor pisze w niej o Bożej opatrności, jako „stałej opiece Boga i Jego absolutnej kontroli nad stworzeniem, dla Jego chwały i dla dobra Jego ludzi”. Nic, nawet najmniejszy wirus, nie wymyka się spod Jego kontroli. Św. Augustyn napisał: „Nic się nie dzieje, jeśli Wszechwładny nie sprawi, żeby to się stało. Albo pozwala, albo sprawia, aby coś się stało”. Inny myśliciel stwierdził: „Nic nie jest za małe albo za duże, aby wymknąć się spod Bożej kontroli. Zarówno pająk snujący swą pajęczynę, jak

i wojska maszerujące na wojnę są pod Jego kontrolą”. Jezus powiedział: „Czyż nie sprzedają za grosz dwu wróbli? A jednak ani jeden z nich nie spadnie na ziemię bez woli Ojca waszego. Nawet wasze włosy na głowie wszystkie są policzone. Nie bójcie się; jesteście więcej warte niż wiele wróbli” (Mt 10,29-31).

Uświadomiłam sobie, że moja choroba (ani pierwsza, ani druga) nie była przypadkiem. Pozwolił na nią wszechwładny Bóg, który kieruje moim życiem. Ale dlaczego?

Dlaczego Bóg pozwala na cierpienia?

Tak sformułowane pytanie sugeruje, że celem życia tu, na ziemi, jest szczęście, dążenie do niego za wszelką cenę, zaspokajanie swoich potrzeb. Larry Crabb w książce pt. „Shattered Dreams” (Roztrzaskane marzenia) stwierdza: „Problem polega na tym, że zakładamy, iż jesteśmy na tym świecie tylko po to, żeby było nam dobrze. Chcemy doświadczać przyjemności, mieć udane życie, dobre małżeństwo, miłe dzieci, świetną posadę”.

Kiedy wszystko idzie dobrze, nie myślimy o rzeczach ostatecznych, nie zastanawiamy się nad przyszłością. Każdy jednak napotyka czasem trudności i przeżywa ból. Może to być nieudane małżeństwo lub rozczarowanie związane z brakiem partnera, zbuntowane dzieci, trudne relacje z innymi, niepowodzenia finansowe, niespełnione marzenia, utrata kogoś bliskiego, samotność. Z trudem godzimy się na takie koleje losu. Wszystkie to wywołuje w nas ból i zdziwienie. Jak to? Przecież miało być dobrze. Dlaczego mnie to spotkało? Jeśli Bóg jest, kocha mnie i kieruje wszystkim, to dlaczego zsyła cierpienie i niszczy moje marzenia?

Myślę, że nasz bunt przeciwko trudnym sytuacjom wynika z tego, że nie uświadamiamy sobie, po co zostaliśmy stworzeni. Bóg pozwala na cierpienia, bo chce powiedzieć: „Dane ci życie jest czymś więcej niż okazją do realizacji twoich pragnień”. Myślimy, że potrzebujemy do szczęścia wielu rzeczy, a tak naprawdę najbardziej potrzebujemy Boga.

Życie jest okazją do poznania Go, aby żyć z Nim wiecznie. Nosimy w sobie Jego obraz. On stworzył nas, abyśmy przynosili Mu chwałę, wypełniając Jego wyjątkowy plan dla naszego życia. Poznanie Boga i odzwierciedlanie Jego chwały jest największym szczęściem.

Bóg źródłem prawdziwej nadziei

Dopiero gdy rozwiewają się nasze marzenia, zaczynamy zadawać zasadnicze pytania o sens życia, o to, czy jest ktoś, kto nim kieruje. Roztrzaskane marzenia są najcenniejszym błogosławieństwem, pozwalającym odkryć prawdziwą, niezależną od okoliczności nadzieję, która jest tylko w Bogu. Odnalazłam ją na nowo wśród pytań i wątpliwości. Jeszcze raz zrozumiałam, że nie mogę pokładać nadziei tylko w tym życiu. To Bóg jest tym, który daje prawdziwą nadzieję. On jest źródłem życia i źródłem nadziei. Jest Bogiem miłości. Wszystko, co On czyni, jest zgodne z Jego charakterem, pełnym dobroci, mądrości i sprawiedliwości. Zrozumiałam też dobitnie, że jeśli to ziemskie życie jest wszystkim, co mamy, to kiepsko wygląda nasza sytuacja. Bo kiedy wydaje się, że wszystko idzie dobrze, któregoś dnia możemy usłyszeć z ust lekarza słowa: „to rak” i wtedy ziemia usuwa się nam spod nóg.

Na ogół żyjemy tak, jakby w ogóle nie było śmierci. Odsuwamy od siebie myśl, że może ona przyjść w każdej chwili. Wszyscy pragniemy „normalnego”, szczęśliwego życia; zdrowia, dobrej pracy, zrozumienia i wsparcia ze strony innych. Nie zdajemy sobie sprawy, że zostaliśmy stworzeni do czegoś więcej. Bóg „rozbija” nasze marzenia, abyśmy przyszli do Niego i odkryli prawdziwy sens życia, otrzymali prawdziwą nadzieję.

Bóg zniweczył moje pragnienia, aby być zdrową i cieszyć się dobrym samopoczuciem, po to, bym zrozumiała, że nie moje zdrowie, lecz ON jest ŹRÓDŁEM NADZIEI. Nadzieja, jaką On daje, jest czymś więcej niż nadzieją na poprawę sytuacji, na wyzdrowienie, na lepsze perspekty-

wy finansowe czy bardziej udane małżeństwo. Jaką bowiem nadzieję może mieć mój znajomy, którego córka zginęła w ataku terrorystycznym w Izraelu, albo mój przyjaciel z Rosji, który niedawno dowiedział się, że rak znowu zaatakował i że nie ma dla niego ratunku. Obaj jednak w obliczu tych tragedii ufają Bogu i od Niego czerpią pociechę i wsparcie.

Nigdy nie zapomnę rozmowy z małżeństwem, które straciło jedyne syna w wypadku. Nawet w obliczu tak wielkiego nieszczęścia nie załamali się, wierząc we wszechwładzę i opiekę Boga. To On był tym, który ich podtrzymał i przeprowadził przez tę tragedię. Spotkałam też inne małżeństwo, które również straciło jedyne syna. Byli niewierzący, a ich życie zostało pozbawione jakiegokolwiek nadziei. Tylko Bóg może dać nadzieję, która jest ponad tragiczne wydarzenia, sięga poza ramy ziemskiego życia i prowadzi ku wieczności.

Dwa podejścia

Wspominałam wcześniej o dwóch grupach ludzi. Pierwsza to ci, którzy widzą cuda i mają nadzieję, że jest ktoś tam na górze, kto im pomoże. Druga, to ludzie traktujący życie jako zbieg okoliczności, żyjący bez trwałej nadziei. Przyjrzyjmy się teraz tej drugiej grupie.

Ludzie ci negują istnienie Boga – kogoś, kto kieruje światem i ich losem. Szczytą się tym, że ufają swojemu rozumowi i nie muszą szukać nadziei w Bogu. Myślą, że są panami swojego życia i że w obliczu nieszczęścia jakoś dadzą sobie radę. Ernest Hemingway, amerykański pisarz, jest przykładem takiego człowieka. Próbował znaleźć szczęście w tym życiu, a kiedy mu się to nie udało, wyczerpawszy swoje możliwości, pozbawiony nadziei, popełnił samobójstwo. Do grupy tej można zaliczyć także ludzi, którzy popadli w różne uzależnienia, jak alkoholizm czy narkomania – prawdopodobnie z powodu utraty nadziei. Większość ludzi w drugiej grupie to jednak tak zwani mocni, twardzi ludzie, którzy ufają sobie i swojej sile. Żyją zazwyczaj z dnia na dzień,

uganiają się za przemijającymi rzeczami, nie pytając o sens istnienia. Dopiero kiedy spotyka ich tragedia, śmiertelna choroba lub nieszczęście, wtedy albo zadają pytania, na które nie ma odpowiedzi, albo trwają w samooszukiwaniu.

Kiedy przechodziłam chemioterapię i naświetlania, spotykałam kobiety z drugiej grupy. Jak dawały sobie radę, chorując na raka,? Ich sposobem na przetrwanie było pozytywne myślenie, powtarzanie sobie kilka razy na dzień: „Jestem zdrowa, będę wyleczona, muszę tylko myśleć pozytywnie, a wszystko będzie dobrze”. Ta złudna nadzieja musiała jednak rozwiać się przy nawrocie choroby. W ostatecznym momencie, momencie śmierci, na co mogą mieć nadzieję ludzie z drugiej grupy?

Powiedziałam, że należę do pierwszej grupy ludzi. Zaufałam Bogu i opieram się na obietnicach Jego słowa. Wierzę, że nie ma przypadków, nie ma zbiegów okoliczności. Moja choroba, tak pierwsza, jak i druga, nie była przypadkiem. Pozwolił na nią Bóg i dzięki niej zrozumiałam, na czym polega prawdziwy sens naszego życia tu na ziemi. Życie to dar od Niego, okazja do poznania Go i odzwierciedlania Go przez swoje życie.

Francuski filozof i fizyk Blaise Pascal powiedział: „Życie przypomina swoistą grę hazardową, od której uchylić się nie można. Zakładając istnienie Boga, traci się niewiele – pewne racje rozumu oraz odrzucony przez chrześcijaństwo sposób życia (zakłamanie, nienawiść itd.), zyskać zaś można wieczność bytu i nieskończone szczęście. Przyjmując Jego nieistnienie traci się wszystko, a zyskuje mało – pełne niedoli i rozterek życie ateisty. Opłaca się więc żyć tak, jakby Bóg istniał, tym bardziej, że jest możliwość podejrzenia kart w tej grze (na przykład dzięki Pismu Świętemu)”.

Podejrzymy więc „karty w tej grze”. Bóg obiecał nam życie wieczne. „Kto wierzy w Syna Bożego, ma świadectwo w sobie. Kto nie wierzy w Boga, uczynił go kłamcą, gdyż nie uwierzył świadectwu, które Bóg złożył o Synu swoim. A takie jest to

świadectwo, że żywot wieczny dał nam Bóg, a żywot ten jest w Synu Jego. Kto ma Syna, ma żywot; kto nie ma Syna Bożego, nie ma żywota. To napisałem wam, którzy wierzycie w imię Syna Bożego, abyście wiedzieli, że macie żywot wieczny” (1 J 5,10-13).

Śmierć nie jest końcem

Gdybym dziś usłyszała pytanie, zadane mi ponad 25 lat temu, co się ze mną stanie, jeśli nagle umrę, odpowiedziałabym: „Bóg mówi, że jeśli mam Syna, mam życie wieczne. Nie ma innej drogi, nie ma innej nadziei. On czuwa nade mną i opiekuje się mną. Jest Bogiem, Stwórcą wszechświata, planet i gwiazd, nieba i ziemi, słońca i deszczu, dnia i nocy, wody i ognia, zwierząt i ludzi. Wszystko, co mam, zawdzięczam Jemu. ON JEST ŹRÓDŁEM MOJEJ NADZIEI, nie tylko w tym życiu, ale i w przyszłym”. Po dwukrotnej walce z rakiem żyję ze świadomością, że mogę umrzeć na raka. Może to być za dwa lata albo za dwadzieścia. Wiara w Boga daje mi jednak nadzieję, że jakkolwiek by nie było, On będzie się o mnie troszczył, bo jestem Jego dzieckiem. Nie umrę ani chwilę wcześniej, ani później niż On na to pozwoli.

Mam też ufność, że śmierć nie jest końcem życia. Wierzę, że po śmierci zacznie się nowe życie. C. S. Lewis, angielski pisarz i filozof, autor m.in. „Opowieści z Narnii”, napisał: „Jeśli odkryjemy w sobie pragnienie, którego nic na tym świecie nie zdoła zaspokoić, to powinniśmy się zastanowić, czy może nie zostaliśmy stworzeni dla innego świata”³. Bóg naprawdę stworzył nas dla innego świata. Życie na ziemi jest tylko przedsmakiem naszego prawdziwego mieszkania.

Bóg obiecał nam życie wieczne w swoim Synu. Obiecał także życie obfite tu, na ziemi, dla tych, którzy Go znają. Obiecał również, że „Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra” (Rz 8:28 BT). Powiedział, że nigdy nas nie opuści. Jego obietnice dotyczą Jego dzieci.

A ty? Czy stałeś się Jego dzieckiem przez zaproszenie Go ►

►do swojego życia? Jeśli tak, to Jezus, Syn Boży, jest w Twoim życiu, należysz do pierwszej grupy ludzi i możesz mieć trwałą nadzieję.

Natomiast nie masz życia wiecznego, jeśli nie masz Syna. Tak mówi Pismo Święte. Być może, podczas czytania tego tekstu, stwierdziłeś, że należysz do drugiej grupy ludzi, a chciałabyś znaleźć się w pierwszej. Dzisiaj możesz zaprosić Go do swojego serca i stać się Jego dzieckiem. Pan Jezus stoi u drzwi twojego serca: „Oto stoję u drzwi i kołaczę; jeśli ktoś usłyszy głos mój i otworzy drzwi, wstąpię do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze

mną” (Obj 3,20). On chce być obecny w twoim życiu. Zwróć się do Niego w prostej modlitwie, na przykład takiej: Panie Jezu, dziękuję za to, że umarłeś na krzyżu i poniosłeś karę za moje grzechy. Wierzę w Ciebie, otwieram drzwi mojego życia i przyjmuję Cię jako mojego Zbawiciela i Pana. Dziękuję za przebaczenie moich grzechów i dar życia wiecznego. Jeśli zwróciłeś się do Boga w takiej modlitwie, możesz być pewien, że Chrystus wszedł do twojego



serca, przebaczył twoje grzechy i nigdy cię nie opuści.

MAŁGORZATA STIFF

Oprac. N.H. na podstawie:
Małgorzata Stiff, *Źródło mojej nadziei*, Ruch Nowego Życia – Forum Kobiet (www.rnz.org.p), Warszawa 2006.
Wykorzystano za pozwoleniem.

Przypisy:

- 1 *Słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 1978.
- 2 W. Tatarkiewicz, *O szczęściu*, Tadeusz Zapór i Ska, Kraków 1949, s. 114.
- 3 C. S. Lewis, *Chrześcijaństwo po prostu*, Media Rodzina, Poznań 2002, s. 137.